

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



JULIUSZ SŁOWACKI

**OJCIEC
ZADŻUMIONYCH**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

OD AUTORA

Dla objaśnienia następnego poematu potrzeba mi nieodbicie powiedzieć kilka słów o kwarantannie na pustyni między Egiptem a Palestyną, blisko miasteczka El-Arish. Wymysłem to jest dziwnym Mohameda Ali, że między dwoma swoimi państwami nazaczył myślą na błędnym piasku granicę i pod karą miecza zmusił wolne Beduiny rozbijać w tym miejscu namioty i żyć przez dni kilkanaście pod dozorem straży i doktora; inaczej zaś z Egiptu do Syrii dostać się nie mogą. Podróżując na wielbłądzie musiałem podobnemu ulec losowi. Po ośmiu dniach drogi przybyłem z Kairu na smutną dolinę piaszczystą, abym na niej przez dni dwanaście zamieszkał. Zrazu pojąć nie mogłem, jak miejsce puste, bez żadnego domu, błędnym piaskiem zawiane, mogło prawu ludzkiemu podlegać; ale miecz baszy zdawał się wisieć w błękitnym niebie nad głową moich przewodników Arabów, bo przybywszy na dolinę kwarantanny kazali zaraz uklęknąć wielbłądom, a w twa-rzach ich czarnych widać było głębokie poddanie się ludzi wolnych pod prawo straszego człowieka. Przybył doktor z miasteczka El-Arish; pierwsze to było miasteczko, które od wyjazdu z Kairu obaczyłem z daleka, a doktor pierwszym napotkanym człowiekiem. Pan Steble, tak się nazywał ów lekarz, emigrant włoski, ożeniony świeżo z panną Malagamba, sławną pięknnością na Wschodzie, o której Lamartine z takim uniesieniem rozpowiada, starał się natychmiast mój pobyt pod otwartym niebem jak najwygodniejszym uczynić; wydał ze składu kilka namiotów dla naszej podróżnej gromadki; a jak się później dowiedziałem, rączki jego żony grzęzły w białej i srebrnej mące, aby mi na chlebie europejskim nie zabrakło. Rozłożywszy się pod namiotem przywykać zacząłem do smutnego widoku, który mnie otaczał. Opodal nieco rzeczka, sucha prawie aż do dna, przerzynała piasku dolinę i szła do morza, za nią szara wstęga palmowych lasów; od północy błękitna szarfa Morza Śródziemnego roztrącała się o piasek i smutnym gwarem fal napełniała ciche nad pustynią powietrze; nad morzem zaś, na piramidalnej piasku mogile, błyszczał białą kopułą mały grobowiec Szecha, straszny, albowiem tam, w jego lochach, składano umarłych z dżumy; a zaś architektura jego i

żółtawa białość nadawały mu pozór kościotrupa. Z innych stron wzgórza piaskowe i na nich straży namioty, i patrzący na kwarantannę strażnicy w jaskrawych orientalnych ubiorach; w środku zaś doliny niby stożec piaskowy, z którego muezin obwoływał donośnym głosem wielkość Boga rano, wieczorem i w nocy. Wszystkie te obrazy czytelnik drugi raz odbite znajdzie w następującej powieści; a pokażą się mu we właściwszym świetle, albowiem, je zobaczy przez łyżki ludzkie. Co do mnie, przywykać zacząłem do mego namiotu i podobałem sobie w ciszy piasko-wego stepu i w szumie morza, do którego brzegów pozwalano mi chodzić wzięwszy z sobą jednego z kwarantanny strażników. W wigilią Bożego Narodzenia (1836 r.), kiedy z téj spokojnej pustyni myśli moje odbiegły aż do dalekiej ojczyzny mojej i ku owym dniom, które dawniej spędzałem na ucztach w gronie rodzinnym, okropna burza przewiewana wichrem z Morza Czerwonego na Śródziemne, gruchnęła w nocy i połała się deszczem piorunów na mój namiot oddalony od ludzi. W smutne i zamyślane o kraju serce zaczęło wchodzić powoli przerażenie... Szeleszczący od wichrów i deszczu namiot chwiał się nade mną i zaczerwieniony od piorunów, wydawał się ognistym i strzegącym łoża bezsennego cherubinem... Wicher mi zagasił światło, a wilgotny knot na nowo zapalić się nie chciał. Próżne tu byłyby opisy; albowiem wielkością biblijną nacechowana była ta burza w pustyni - Anelli myślał, że już przyszedł wicher, który go z ziemi zwieje i zanieśie w krainę cichą - przeszła jednak ta bezsenna noc zgrozy, a gdy nad rankiem wyszedłem z namiotu, chmury żelazne okrywały niebo i drobny deszczyk zasmucał powietrze. Ale nie tu był koniec przestraszów; krzyk Arabów uwiadomił mnie o nowym niebezpieczeństwie: owa rzeczka, gdzie wczora za ledwo nitka wody sączyła się po piaskowym korycie, narzmiąca nocną ulewą i srebrnymi pletwami prosto biegła roztoczyć się po dolinie, na której stały nasze namioty; za ledwo kilka chwil czasu zostało do ratunku; unieśliśmy za pomocą Arabów namioty nasze na najbliższe wzgórze piaskowe, a zaraz po nas przysła woda napęlić owe kręgi piaskowe, które jako ślady naszych zerwanych domów zostały w dolinie. Zziębły i ponury patrzałem ze wzgórza na tryumf téj biednej rzeczki, a patrząc tak, dziwnego doznawałem wrażenia. Bez dachu, bez ognia, bez pokarmu, doznawszy morskiego prawie na ziemi rozbicia, nie mogłem jednak udać się do bliskiego miasteczka, gdzie byli ludzie, ani prosić, aby mię pod dach jaki przyjęto i przy gościnnym posadzono ognisku. A mogły nadejść okropniejsze burze, mogło nareszcie przyjść morze i zatopić wzgórze, na którym stałem; a wszystko to trzeba było własnymi siłami wytrzymać, ocalić się lub zginąć, pod okiem ludzi, którzy się mnie i rzeczy moich dotknąć nie mogli i nie śmieli. Wyjaśniło się na koniec niebo, a ja, nauczony doświadczeniem, już nie w dolinie, lecz na wzgórzu najwyższym rozbiłem namiot; i przyszły dnię pogodne, ciche, spokojnie płynące w pustyni. Drogman mój Soliman, sławny z tego i chępliwy, że

był niegdyś tłumaczem Champoliona, Roseliniego, Fresnela i wielu innych, opowiadał mi o swoich dawnych panach różne drobne szczegóły ich podróży i ze mnie zapewne zbierał zapas małych postrzeżeń, którymi będzie bawił przyszłych wędrowników. Wieczorem zaś, usiadłszy na ziemi u wejścia do namiotu, piękny ten Arab, z długą brodą, oświecony wierzającym między płótna księżycem, śpiewał mi strofy z poematów arabskich, których dźwięk niezrozumiany i smutna nuta kołysały mnie do snu. A wtenczas - może mnie anioł snów okrywał płaszczem rycerza Solimy i naznaczał krzyżem czerwonym na piersiach, a zaś Araba tego przemieniał w giermka śpiewającego smutne dumy z ziemi rodzinną. Lecz dosyć już o tym śnie tajemniczym życia mojego, o tym złotym stepie i o tym namiocie, gdzie miałem chwile spokojne, gdzie budząc się, przez roztworzone płótno oczy moje napotykały konstelacją Oriona, tak podobną do gwiazdzistej lutni zawieszoną przez Boga nad biednym namiotem błędnego Polaka. Dosyć o tym cichym tygodniu życia - przeminał. - Wielbłądy moje znów uklęknęły przede mną i podniosły się z pielgrzymem zadumanym, wyciągając długie, węzom podobne szyje ku grobowcowi Chrystusowemu; a kiedy już byłem o godzinę drogi ku wschodowi, obróciłem się na siodle, aby raz jeszcze spojrzeć na mój namiot zielony; obaczyłem go na wzgórzu i zdawało mi się, że sam wyszedł na miejsce wysokie, aby mnie pożegnać; a czy to ludzie pakując rzeczy, czyli też sam namioty nie czując już w sobie mieszkańca, wyrwał kilka kołów z piasku i skrzydłem powiewał za mną, pokazując mi swoje łono czarne i puste. - Odwróciłem się od tej rzeczy, co miała serce rozdarte po mnie. A wkrótce zaczęły się pokazywać na piasku lilije białe, zwiastując, że się zbliżam do żyźniejszej krainy; i pomyślałem, że na te same kwiaty obróciwszy oczy mówił Chrystus do uczniów swoich, aby się nie troszczyli o jutro i o rzeczy z tego świata, patrząc na lilie, które Bóg odziewa.

Oto jest opis kwarantanny odbytej przeze mnie na pustyni; gorszą daleko wysiedział ów starzec opowiadający nieszczęścia swoje w następnym poemacie. Historia jego boleści nie jest całkowicie zmyśloną: opowiadał mi ją doktor Steble, któremu tak za nią, jako za chleby i za uprzejmość dla mnie podziękowałbym tutaj, gdybym wiedział, że te kilka wyrazów znajdzie go na pustyni. Ale czymże jest dla niego wspomnienie w niezrozumiałym języku i wymówione głosem, który zaledwo się tak rozchodzi, jak kręgi na wodzie po rzuconym do niej kamieniu?

OJCIEC ZADŻUMIONYCH

W El-Arish

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Maleńkie dziecko karmiła mi żona,
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki,
Cała rodzina, dzisiaj pogrzebiona,
Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów
Chodziło co dnia na piasku pagórki
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów;
A wieczór - wszystkie tu się kładły wiankiem,
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,

Żona, z synaczkiem przy piersiach, warzyła.
Wszystko to dzisiaj tam - gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiecha,
Wszystko tam leży pod kopułką Szecha.
A ja samotny wracam - o boleści!
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści,
Odkąd do mego płóciennego dworu
W tej kwarantannie wszedł anioł pomoru.
O! niewiadoma ta boleść nikomu,
Jaka się w moim sercu dziś zamyka!
Wracam na Liban, do mojego domu -
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: „Starcze! gdzie są twoje dziatki?” -
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: „Starcze! gdzie są twoje córki?”
Naprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje, wszystkie pogrzebione
Tam, pod grobowcem tym okropnym Szecha -
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem,
Pytać się będą. - Cóż ja im odpowiem?!

Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku.
Wielbłądy moje cicho się pokładły;
Dziecko, jak mały aniołek w obrazku,
Karmiło wróble, a ptaszęta jadły,

Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie. -
Widzisz tę małą rzeczulkę w dolinie?
Od niej wracała najmłodsza dziewczyna,
Z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.
Przyszła do ognia i wodą z potoku,
Śmiejąc się, lekko trysnęła na braci. -
Najstarszy - z ogniem zapalonym w oku
Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie
I rzekł: „Sam Bóg ci za wodę zapłaci,
Bo chcę pić jak pies, bo ogień mam w łonie”.
To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,
Powalił się tu jak palma złamana.
Przybiegłem - nie czas już było ratować. -
Siostry go chciały martwego całować;
Krzyknąłem wściekły: „Niech się nikt nie waży!”
Porwałem trupa i rzuciłem straży,
Aby go wzięła na żelazne zgrzebła
I tam, gdzie grzebią zarażonych, grzebła.
A od tej nocy tak pełnej boleści
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Tęj samej nocy Hafne i Amina
Umarły leżąc na łożu przy sobie.
A patrz! - tak cicho umierały obie!
Że choć po śmierci najstarszego syna
Oczy się moje do snu nie zawarły,
A nie słyszałem, jak obie umarły.

I nawet matka własna nie słyszała,
Choć wiem, że także téj nocy nie spała.
Rankiem obiedwie sine jak żelazo,
Dwie moje córki zabite zarazą,
Wywlec kazałem strażnikom z namiotu;
I porzuciły nas! - i bez powrotu!...
A jak dorosłym przystoi dziewczicom,
Włosami ziemię zamiotły rodzicom.

Widzisz te słońce w niebie lazurowém?
Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym,
Zawsze zachodzi za tą piasku górą;
Zawsze te niebo nie splamione chmurą;
A mnie się zdało wtenczas, nie wiem czemu,
Że słońce słońcu nie równe złotemu;
I już nie takie, jakie było wczora,
Ale podobne do słońca upiora.
A niebo, które patrzyło na zgubę
Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci:
Tak mi się mgliste zdawało i grube
Ziemi wyziewem i słońca purpurą,
Że nie wiedziałem, czy pacierz doleci
Do Pana Boga, co się zakrył chmurą.

I tak dni dziegieć przeszło, choć nieskoro.
Reszta mych dzieci żyła - wszystko czworo,
Małżonka moja serce miała lżejsze,

I nawet moje dzieciątko najmnijsze
Żyło i kwiatkiem nic chciało usychać -
Ja sam nareszcie zacząłem oddychać;
Bo nie wierzyłem, żeby wzięwszy troje
Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje.

O! była to więc piekielna godzina!
Gdy patrząc na twarz najmłodszego syna
Śmierć zobaczyłem! - Ach, ja go tak strzegłem! -
Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny;
Nikt by nie dostrzegł - ja, ojciec, spostrzegłem.
On do tamtego stawał się podobny;
Stawał się jak mój trup pierworodzony
Z jasnego blady, z bladego czerwony.
Patrzę! - Na twarzy plam żelaznych krocie -
Więc zawołałem głośno: „Śmierć w namiocie!”
I pochwyciwszy go z takimi trądy
Wyniosłem na step, pomiędzy wielbłądy,
Aby go tam śmierć zgryzła do ostatka;
I żeby na to nie patrzała - matka.

Przy konającym czuwaliśmy bliscy
Ja z wielbłądami - na kolanach wszyscy.
Łamałem ręce i wołałem głośno:
„Oby nie umarł! lub się był nie rodził!” -
A tam nad palmy, z twarzą Nielitośną,
Gdy konał mój syn, blady miesiąc wschodził

I patrzył: - tego z pamięci nie zatrzeć!
I nie wiem, jak ten sam miesiąc mógł patrzeć?
Gdy skołał w moim ojcowskim uścisku,
Chciałem go spalić na popiół w ognisku;
Lecz ledwie ogień zaczął biec po szacie,
Wyrwałem trupa i rzuciłem straży -
Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy,
I lepiej mu tam przy siostrach i bracie.
Od tego zgonu i od téj boleści
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Pod kręgiem słońca jako krew czerwonym
I pod namiotem tym zapowietrzonym
Żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie,
I śmierć przed samą śmiercią udawali
Myśląc, że Boga oszukamy w niebie,
Że się ten bałwan zarazy przewali. -
Powrócił! - Anioł powrócił morderca!
Ale mnie znalazł bez łez i bez serca,
Już omdlałego na boleści świeże,
Już mówiącego: „Niech Bóg wszystko bierze!”
Miałem na syna trzeciego cierpienia
Powieki bez łez i serce z kamienia.
Boleść już była jako chleb powszedni.
I pod oczyma mi konał mój średni,
Najmniej kochany w mém rodzinném gronie
I najmniej z dzieci płakany po zgonie.

Toteż Bóg jemu wynagrodził za to,
Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą,
Bez żadnych bólów, bez żadnych omamień.
Skonał i skościł, i stał się jak kamień.
A tak okropnie po śmierci wyglądał,
Jakby już próżnych naszych łez nie żądał,
Ale chciał tylko lice swoje wrazić
W serca nieczułe, oczy nam przerazić
I wiecznie zostać w rodziców pamięci
Z twarzą, co woła: „Jesteście przekłęci!” -

Skonał. Myślałem wtenczas - o rozpaczy! -
Że jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,
Jeśli anioła śmierci przyszle po nie:
Dziecko mi weźmie - żonę - a po żonie
Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę...
Córka! - Ja myśleć nie śmiałem o córce!
I trwoga o nią nie gryzła mię żadna.
Ach, ona była młoda! taka ładna!
Taka wesoła, kiedy moją głowę
Do lilijowych brała chłodzić rączek,
Kiedy zrobiwszy z jedwabiu osnowę,
Okolo cedru biegała po trawie,
Jak pracowity snując się pajaczek.
Patrz! i ten pas mój błyszczący jaskrawie
Ona robiła - i te smutne oczy
Ona rąbkami złocistych warkoczy

Tak przesłaniała, że patrzałem na nią
Jako na róże przeze łzy i słońce.
Ach, ona była domu mego panią!
Ona jak jaśni anieli obrońcę
Najmniejsze dziecko w kołysieczce strzegła.
I gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła;
I wszystkie nasze oplakała ciosy,
I wszystkie nasze łzy - wzięła na włosy.

Dziesięć dni przeszło i nocy tak długich,
Że śmierć już mogła na gwiazdy odlecieć.
Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich
Przeszło - nadzieja zaczynała świecić...
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści
I naliczyliśmy ranków trzydzieści.
Nareszcie zbywszy pamięci i mocy,
Położyłem się i zasnąłem w nocy.
I we śnie, w lekkie owinięte chmury,
Ujrzałem moje dwie umarłe córki.
Przyszły za ręce trzymając się obie;
I pozdrowiwszy mię pokojem w grobie,
Poszły, oczyma cichymi błyszczące,
Nawiedzać inne, po namiocie śpiące.
Szły cicho, z wolna, schylały się nisko
Nad matki łóżem, nad dziecka kołyską;
Potem na moją najmłodszą dziewczynę
Obiedwie - ręce położyły sine!

Budzę się z krzykiem i umarłą dziatwę
Klnąc wołam dziko: „Hatfe! moja Hatfe!”
Przyszła jak ptaszek cicho po kobiercu,
Rzuciła mi się rączkami na szyję;
I przekonałem się, że Hatfe żyje,
Słyszając jój serce bijące na sercu,
Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć -
Córka!!! - Lecz na co z boleścią się szerzyć?
I te mi dziecko sroga śmierć wydarła!
I ta mi córka na rękach umarła!
A była jedna najstraszniejsza chwila -
Kiedy ją bole targały zabójcze,
Wołała: „Ratuj mnie! ratuj, mój ojczy!”
I miała wtenczas czerwone usteczka
Jak młoda róża, kiedy się rozchyła. -
I tak umarła ta moja dziewczeczka,
Że mi się serce rozdarło na ćwierci -
A piękna była jak anioł - po śmierci!

Przyszli nade mną płakać nieborakiem
Strażnicy; przyszli mi wydrzeć to ciało.
I nieostrożni zaczepili hakiem -
Hak padł na pierś jój twardą, krągłą, białą...
I tu - bogdajby jak ja nie umarli! -
Tu ją pod mymi oczyma rozdarli. -
Ty im to, Boże niebieski, spamiętasz!
Wziąłem ją - i sam zaniósłem na cmentarz.

Z założonymi na piersiach rękoma
Siedziała trzy dni matka nieruchoma
W kącie namiotu, żółta, jakby z drewna.
Dziecina stała się blada i rzewna;
Bo mleko matki zaczęło wysychać,
I co dnia było płacz w kołysce słycać.
A ta pustynia - nie masz dzieci w grobie! -
Ona inaczej wydaje się tobie,
Może złocista, jasna i weselna?
Lecz dla mnie jest to równina piekielna!
Przez tę równinę, przez te piasku kupy
Ciągnięto śniade moich dzieci trupy.
A tam na wzgórzu, kędy morze bije,
Dla ciebie szumi morze - dla mnie wyje;
A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,
Dla ciebie szemrze tylko - dla mnie płacze,
Co dnia, gdy przyszła wieczorna godzina,
Śpiewającemu słycał muezina:
Jakby się nad mym ulitował losem,
Zaczął smutniejszym obwoływać głosem,
Krzyżąc ze swego piaskowego stoga
Nieszczęśliwemu ojcu - wielkość Boga.
O! bądźże mi Ty pochwalony, Alla!
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,
Zarazą, która dzieci mi wytraca
I bierze syny z łona rodzicielki.

O Allah! Akbar Allah! jesteś wielki!
Wszystko, co miało tylko twarz człowieka,
Zaczęło stronić ode mnie z daleka.
Namiotu mego - córki go uprzedły -
Płótna na rosie poczerniały, zwiędły
I podarły się, i lekko napięte,
Były jak próchna z ludzkich trumien zdjęte.
Zarazę było znać na tym namiocie -
I wiesz, że nawet tych wróbelków krocie,
Co zlatywały się tutaj o brzasku
Jeść okruszyny i kapać się w piasku;
Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
Po żer przestały się wszystkie zlatywać.
Czy odstraszyło je podarte płótno
Namiotu mego? czy twarz moja biedna? -
Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna
I spostrzegłem to - i było mi smutno.
Po córce w pięć dni - o Boże mój! Boże!
Z wieczora huczeć już zaczęło morze
I słońca się krąg pochował ponury,
I niebo czarne zaciągnęły chmury.
Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,
Ciemna, od gromów czerwoności widna.
Jeszcze dziś czuję i widzę, i słyszę,
Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze,
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
Jak się nade mną w ciemności kołysze

I od piorunów się cały czerwieni,
Podobny grobom szatańskim z płomieni.
Zdawało mi się za burzy łoskotem,
Żem słyszał martwe dzieci, za namiotem,
Wszystkie jęczące przeraźliwie, głucho.
Więc natężyłem wzrok, serce i ucho;
I z przerażeniem rozmyślałem w sobie,
Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie?

I nagle! - Czemuż ta Śmierć tak zdradziecko!
Tak cicho weszła pod namiotu żagle?! -
Grom spadał hucząc po gromie i nagle
W kołysce z cicha zapłakało dziecko -
A płacz ten musiał być strasznym wyrazem...
Bo zaraz - matka - ja - oboje razem -
Rzuciliśmy się, gdzie robaczek lichy...
A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy,
To tak wydawał się obojgu głośny
I tak rozdarty, i taki żaloszny,
I tak z głębokich wnętrzości wyjęty!
I tak rozumny! i taki przeklęty!!!
Żeśmy oboje biegli gromem tknięci,
I bez nadziei już! i bez pamięci!
I nie zawiodło przeczucie żałoby!
Umarło - z takiej jak tamte choroby.
I poszło leżeć między trupy bratnie,
Moje najmilsze!... i moje ostatnie!!!

Śmierć mi go czarna wzięła nielitośnie.

I już nie wróci! ani mi urośnie!

Ani go kiedy mój dom już zobaczy! -

I już nie wróci nigdy!- o rozpaczy!!!

Noc przyszła druga, błyszcząca gwiazdami.

Byliśmy z matką w namiocie - przed nami

Leżało dziecko na stole, nieżywe,

Nieruchomością śmierci przerażliwe.

Uczułem wtenczas, patrząc na tę postać,

Że gdyby mogło choć tak z nami zostać

Przez wszystkie lata - choć tak, nie inaczej -

Ubyłoby mi z serca pół rozpaczy.

A te już - ani zarazy strażnicy,

Ani ja niosłem do Szecha kaplicy,

Gdzie się nam trupia otwierała brama,

Ale je matka tam zaniósła sama.

W namiocie pustym ja zostałem z żoną.

Ale czy pojmiesz? - zamiast nas połączyć,

Boleść, obojgu nam rozdarłszy łono,

Zaczęła jakieś jady w serca sączyć,

I teraz chyba je sam Bóg oczyści.

Smutek podobny był do nienawiści

I stanął czarny, wielki, między nami.

Więc rozłączeni byliśmy i sami.

I nie mówiliśmy do siebie słowa -

Bo powiedz, jakaż być mogła rozmowa
W pustym namiocie między mną i żoną?
Pomiędzy ojcem i matką tych dzieci?...
Słońce wschodziło w upały czerwono,
Co dnia tonęło tam, gdzie teraz świeci
Jak jaka skrawa pożaru pochodnia. -
Więc tak bezdzielnym było - i tak co dnia -
Cisza ogromna namiot nasz zaległa.
Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;
Zgoła innego jęku ni szelestu...
Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu.
I kwarantanny przybyli lekarze,
Głęboko patrząc w nasze smutne twarze.
Widziałem, jak się każdy z nich zadziwiał;
Bo nachyliłem się był i posiwiął.
A żona moja od niespań i troski
Była jak bursztyn albo żółte woski;
Na głowie miała z włosów siwych wieniec,
Jakiś okropny ceglany rumieniec,
A oczy pełne takiej błyskawicy,
Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.
Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć,
Tam gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy -
Zdrów byłem. - Ludzie! czy będziecie wierzyć?
Ja, co me wszystkie całowałem trupy,
Z tej kwarantanny wychodziłem zdrowy;
Żona, co nawet nie tknęła połowy,

Nad pierśiami się uderzywszy zbladła
I zachwiała się z jękiem - i upadła.
A ja na ręce wziąłem trup niewieści,
Zniosłem w namiot i rzuciwszy brzemię
Upadłem przy niej jak martwy na ziemię.
I obudziłem się - na dni czterdzieści...

Przed samą śmiercią wyznała mi matka,
Że chciała z grobu swojego dzieciątka
Jakiś pamiątki, kamienia lub kwiatka,
Włoska w złocistych na głowie obrączkach;
I ta po dziecku umarłym pamiątka -
Patrzaj! - obrazek ten, co trzymał w rączkach,
Te włoski złote i tak dzisiaj święte,
W mogiłce z główki maleńkiemu zdjęte -
Bo biedna matka miała tyle mocy,
Że odkopała dziecko o północy;
Znalazła jeszcze nie zepsutym wcale,
Pocałowała; w usteczek korale
I znów włożyła do trupich obsłónek -
Te upominki i ten pocałunek,
Zazdrosnej ziemi Szecha ukradzione,
Zabiły matkę i wzięły mi żonę.

I znów się łono piaskowe otwarło,
Gdzie pochowałem matkę martwych zmarłą.
Potem wróciłem do płóciennój nory

Schować się w cieniu jak nocne potwory.
Ani ja słońca na niebieskim sklepie,
Ani mnie ludzie widzieli na stepie.
Stałem się jako zdziecinniali - starzy -
W pamięci mojej - żadnej żywej twarzy,
Tylko te sine i okropne Iica,
Które mi wzięła zarazy martwica.
I w dzień błękitny, i w noc każdą ciemną
Oni tu byli w tym namiocie ze mną;
Gadałem z nimi, zmyślałem rozmowy,
W których rozmawiał ze mną tłum grobowy;
I często dziwnym natrafiłem losem
Na głos, co moich był dzieciątek głosem.
Z obłąkanego budziły mię śnicia
Po nocy hyjen przeraźliwe wycia
Tam nad trumnami... i słuchałem blady,
Jak nad trupami płacze trupojady.
Stałem się wreszcie jak wąż, gdy ochłodnie.
I przechodziły mi dni i tygodnie
Bez żadnych bólów, pamiętek, omamień.
Stałem się twardy i zimny jak kamień.
I raz - ach, boska nade mną opieka!
Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda -
I ach! - Nie była to już twarz człowieka,
Lecz głowa mego starego wielbłąda.
Spojrzał - i spojrzał z twarzą tak litośną,
Że rozplakałem się jak dziecko głośno.

I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieście;
Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.
O gorzka wolność i chwila odlotu!
Jam do ciemnego już przywykł namiotu;
Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy
Będę wyrywał koły i powrozy,
Które... (o Boże wiekuisty, świeć mi!...)
Do tego piasku zatykałem z dziećmi.
Ach, pomóż ty mi je zerwać - sam jestem!
A może tobie posępnym szelestem
Te płótna więcej boleści powiedzą?
One widziały wszystko! wszystko wiedzą!
Czyż nie są teraz jak męki obrazy?
Patrz na nie, dotknij! Nie bój się zarazy,
Nie bój się śmierci, co dotknięciem sinem...
Wszak ty nie jesteś, synu moim synem.
Lecz nie - uciekaj! Ja wiem że te płótna
Straszne się muszą obcym ludziom zdawać.
Śmierć od zarazy? - ach! to śmierć okrutna!
Zaczynasz własnych braci nie poznawać,
Potem cię ogień pali, piersi gorą...
Ach! ja tak moich widziałem ośmioro!
I co dnia patrząc na tak konające,
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące.
Dziś - oto dziewięć wielbłądów podróźnych,
A na nich - patrzaj, osiem juków próżnych,

I nie zostało mi nic - oprócz Boga;

I tam mój cmentarz - a tamtędy droga -